

Agnieszka  
Wojdowicz  
*Niepokorne*  
Eliza



Wydawnictwo  
Nasza Księgarnia

Text © copyright by Agnieszka Wojdowicz, 2014  
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014

Projekt okładki *Katarzyna Borkowska*  
Zdjęcie autorki *Irena Skolmowska*

Zdjęcia na okładce:  
© Małgorzata Maj/Arcangel Images  
© istockphoto.com/Cloudniners

Wiersz Heinricha Heinego *Zasnęło dziewczę znużone* w przekładzie  
Leszka Lachowieckiego według wydania *Danse macabre. Wybór wierszy*,  
Warszawa 1993

## *Prolog*

To była mroźna i śnieżna zima. Przyniosła niepokój, zapowiedź czegoś nieuchronnego, przecucie nieodwracalnej katastrofy. Nastka, służąca Pohoreckich, przypatrywała się co wieczór niebu, a kiedy wschodzący księżyc plamił horyzont krwawą łuną, uczyniwszy znak krzyża, czym prędzej rygłowała drzwi. Przed snem modliła się długo i żarliwie.

– Od powietrza, ognia, głodu i wojny wybaw nas, Panie...  
– szeptała.

Elżbietę od miesiąca znów prześladowały koszmary. Nawiedzały ją z regularnością zimowych śnieżyc; były równie dokuczliwe, a choć mijały, nie udawało jej się wyrzucić ich z pamięci. Budziła się nocami, tłumiąc okrzyk grozy, zrywała się z posłania i z przerażeniem wsłuchiwała w oddech śpiącego w kołysce synka, jakby to na niego czyhało „złe”. Rankiem pogrążoną w niespokojnym półśnie żonę, opartą o rzeźbione ścianki kołyski, znajdował Konstanty. Ostrożnie przenośli ją do łóżka, lecz kiedy mówiła mu o polach zasypanych brudnym śniegiem, rzecze, w której spieniona woda kipi rdzawą posoką, cieniach skradających się od dąbrowy, śmiał się z tych przeczuć.

Nie znalazła wcześniej nikogo, kto potrafiłby równie skutecznie przegonić jej lęki. Od dziecka cechowała ją skłonność do zamartwiania się, niemalże stwarzała sobie problemy, których w rzeczywistości nie było lub które innym wydałyby się co najwyżej zwykłymi niedogodnościami. Konstanty w porę dostrzegł to jej czarnowidztwo i zwalczał je beztróskim śmiechem, za który tak go pokochała.

Wygrała los na loterii, bo wyszła za męża z miłości w czasach, gdy uczucie było luksusem. Męża poznała w karnawale. Zabrał ją z domu – nieznającą życia, chowaną pod kloszem przez zapatrzonych w jedynaczkę rodziców, którzy mimo wysiłków nie zdołali jej zarazić swą pogodą ducha. Ojcu żony obiecał Konstanty, że w jego galicyjskim mająteczku będzie jej równie dobrze jak w rodzinnym domu, matce – że raz do roku zjadą do nich do Warszawy.

Pohorce, gdzie zamieszkali po ślubie, z dnia na dzień podbiły jej serce. Mimo że dzieciństwo spędziła w mieście, a gwar warszawskich ulic wydawał się jej najpiękniejszą muzyką, ku swemu zdumieniu doceniła swoiste piękno ciszy, która odtąd budziła ją o wschodzie słońca i usypiała po zapadnięciu zmroku. Nie była to cisza całkowita ani głęboka; o różnym stopniu napięcia, bogata w odcienie, przynosiła spokój i wyrównywała rytm serca. Elżbieta szybko oduczyła się miasta.

Nie tęskniła za warszawskim domem. Ten nowy, zbudowany na wzgórzach, otoczony bujną zielenią, ocieniony topolową alejką był ostateczną przystanią, kresem poszukiwań – nie chciała niczego więcej.

Odkąd opuściła Warszawę, znikły nocne zwidy i była pewna, że więcej nie wróci. Utwierdzał ją w tym każdy kolejny



dzień, każda szczęśliwa godzina stanowiła gwarancję dobrego losu. A beztronski śmiech Konstantego skutecznie uspił jej czujność...

\* \* \*

O tym, że jest inna, Sara Bach przekonana była od zawsze. Inna od znanych jej żydowskich dziewcząt, córek kupców bławatnych, introligatorów i szewców, tandeciarzy i wekslarzy, których imponujące zakłady rzemieślnicze i nędzne ciemne sklepiki mieściły się na krakowskim Kazimierzu, tuż obok pracowni krawieckiej jej ojca. Odmienność Sary nie miała jednak nic wspólnego z tym, że była córką Lewiego i Rebeki, siostrą czarnowłosej Hadasy oraz Daniela, chudego niczym patyk podrostka zaabsorbowanego bez reszty studiowaniem Tory i znacznie mniej nauką kroju i szycia.

Inność owa wynikała z tego, że Sara po swojemu postrzegała świat. W tej kwestii od czasów dzieciństwa do momentu, gdy stała się panną na wydaniu, nie zaszły żadne istotne zmiany, a ponieważ była tego zdumiewająco świadoma, miała sekrety, które rozsądnie zachowywała dla siebie, dzieląc się nimi wyłącznie z Leą, najlepszą (i jedyną) przyjaciółką.

Sara bowiem uwielbiała czytać i... rysować.

Już czytanie było dziwactwem, nad którym kręcono by z przyganą głowami, gdyby dziewczynka się z nim nie ukrywała. Zaczęło się od *Wyjście i radujcie się*. Sfatygowany egzemplarz znalazła w skrzyni z rupieciami, między starymi księgami, skrawkami zadrukowanego papieru, strzępkami materiałów, motkami nadgryzionej przez mole włóczki i szpulkami

pożółkłych nici. Przeczytała w tajemnicy, od pierwszego do ostatniego akapitu, unikając wzroku matki i starszej siostry, a potem z jeszcze większym zapalem zapoznała się z resztą książek.

Oprócz tego Sara rysowała. Początki były niewinne – bawiała patykiem na ubitej, gliniastej ziemi, skrobała palcem po zaparowanej szybie albo po stolnicy posypanej mąką. Potem zapragnęła białych niczym alabaster arkuszy papieru i buteleczki inkaustu, a gdy wreszcie wyblągała je u ojca, całymi popołudniami, głucha na biadolenia matki lamentującej nad jej próżniactwem, ślęczała nad rysunkami, na których ukazywała wszystko to, co podpowiadała wybujała wyobraźnia, Sara bowiem miała jej ponad miarę. Brakło jej natomiast cierpliwości na naukę przyrządzania świątecznych potraw, cerowania skarpet i szorowania piaskiem patelni oraz rondli.

Lea nie podzielała artystycznych pasji przyjaciółki, ale słuchała z zapartym tchem, kiedy Sara, z wypiekami na smagłych policzkach, z oczami błyszczącymi niczym gwiazdy snuła nie wiadomo gdzie zasłyszane opowieści. Znała ich bez liku. Lea podejrzewała, że większość z nich wymyślała na poczekaniu, tworząc coraz to nowe wersje, zmieniając zakończenia, ubarwiając przygody bohaterów, których los wystawiał na niecodzienne próby. Lea najbardziej lubiła te o dybuku. Choćby o tym, jak zawładnął ciałem grubej Pepy Perlman i z upodobaniem siał panikę wśród domowników: szyby w oknach obrzucał plackami wilgotnego błota, zatykał komin, zatrzaskiwał ościeżnice i warzył świeże mleko. Sara miała dar przekonywania, więc kiedy potem dziesięcioletnia Lea wracała do domu, siedziała niczym trusia przy piecu i szeroko otwarty-



mi oczami, śmiertelnie blada, wpatrywała się w ciemność za oknem, dygocząc ze strachu przed gniewem demona.

Kiedy Sara skończyła szesnaście lat, książki i malowanie pochłaniały ją tak bezgranicznie, że w niewielkim stopniu orientowała się w zmianach, jakie właśnie zachodziły w jej rodzinie. Przegapiła swatkę przyslaną do Hadasy oraz to, że chłopięcy głos Daniela przeszedł w piskliwy falset, gdy gładkie dotąd policzki brata pokryły kępki zarostu. Nie zauważyła też, że Lea coraz częściej domaga się rozmów o chłopcach, szczególnie o młodym Liskowiczu, którego włosy błyszcząły niczym mosiądz, a oczy mieniły się zielenią wiosennego lasu. Sara żyła w wyimaginowanym świecie, świecie przekonana, że woli go od prawdziwego.

Mimo wrodzonego rozkojarzenia zobaczyła jednak, że na drugim krańcu ulicy Szerokiej, niedaleko starej synagogi, otwarto nowy antykwariat. Najpierw skwitowała ten fakt wzruszeniem ramion. Antykwariatów było w okolicy zatrzęsienie, we wszystkich przez przybrudzone szyby dało się dostrzec bure ściany, zarysy lad oraz regałów – i nic ponadto. Ale ten różnił się od pozostałych, więc gdy mijała go w drodze do rzeźni, zatrzymywała się na chwilę, by nań popatrzeć.

Miał okazały, amarantowy szyld i przyciągającą spojrzenia wystawę, na której rozłożono książki w skórzanych lub płóciennych okładkach, opasłe niczym Tora albo tak cieniutkie, jakby do mikroskopijnych grzbietów przytwierdzono listki przezroczystej bibuły. Niektóre leżały rozwarłe na szczególnie ciekawej rycinie lub tekście o oryginalnym kroju czcionki. Sporą część ekspozycji zajmowały inne towary: mapy i globusy, kremowy i jasnobrązowy papier, przybory do pisania,

pędzle, ołówki z ostrzałkami, farby. A także gotowe do oprawy czarno-białe szkice piórkami, na których widok serce Sary niezmiennie przyspieszało.

Sklep cieszył się zasłużonym powodzeniem. Gdy dziewczyna chłonęła wystawę oczarowanym wzrokiem, głośnie dzwonienie dzwonka przy drzwiach co chwila oznajmiało nowego klienta. Ona jednak nigdy nie wchodziła do środka. Antykwiariat był niczym baśniowy sezam; krył skarby, których pragnęła bardziej niż ktokolwiek na Kazimierzu, lecz zdobycie ich wymagało znajomości właściwego zaklęcia.

\* \* \*

Owej nocy, gdy sny Elżbiety stały się jawą, zbudziło ją bicie dzwonów w pohoreckim kościółku i łomotanie do drzwi. Konstanty wypadł z alkierza, a ona nuciła pochylona nad kołyską, wpatrując się z trwogą w zaczerwienioną od płaczu twarzyczkę dziecka. Dopiero gdy ucichło, podeszła do okna. Na podjeździe przed dworem czerniał tłum niewyraźnych cieni.

Cofnęła się do kołyski, kiedy do alkierza wbiegła Nastka. W czarnych oczach służącej migotały odbite od świecy drżące płomyki. Była blada, wystraszona, mimo nocy ubrana w koruszek i długie buty.

– Był tu Józek od proboszcza! Puścili z dymem leśniczówkę i dom organisty! Księdza wywekli na śnieg! – krzyknęła.

Rzuciła się w stronę okna; przywarłszy do modrzewiowej ściany, wodziła wzrokiem po podwórzu.

– Oszalałaś. Kto?

– Chłopi! Pałą dwory!





Elżbieta zbliżyła się do dziewczyny. Na podwórzu faktycznie zebrali się chłopci. Rozpoznała tych z pobliskiej Sosnowki i z leżących za zakolem rzeki Moczarów, choć niektóre twarze były jej obce lub pogrążone w głębokim mroku.

Raptem – niczym na komendę – zapłonęły pochodnie. Odziani w grube baranice, z kosami i siekierami w uniesionych rękach ludzie wyglądali niczym cmentarne upiory.

– Czego chcą?

– Zemsty. Wódki. Pańskiej krwi. Trzeba uciekać, bo będzie za późno!

Tłum zafalował, pochodnie sypnęły snopami iskier, ostrza zaśniły metalicznie, gdy ktoś zszedł po schodach. To był Konstanty, uzbrojony w strzelbę, w rozpiętym, długim do ziemi kożuchu, pod którym biała szyta przez żonę koszula. Przemówił spokojnie, po ojcowsku. Słuchali go w napięciu, lecz kiedy rozkazał im odejść, zawyli wściekle, unosząc pięści, z których posypał się grad kamieni.

– Co oni robią? – wyszeptła Elżbieta.

Gruchnął strzał, potem drugi, ale chłopci ruszyli na dwór, nie zważając na wymierzoną w nich broń.

– Ludzie! Stójcie! – rozległ się krzyk kucharza, który dołączył do pana, a obok, niczym spod ziemi, wyrósł ekonom z fuzją gotową do wystrzału.

Elżbieta zerwała się do drzwi, lecz znów zakwiliło dziecko, więc zawróciła do kołyski, nie spuszczać oczu z okna.

– Cii – szepotała, kołysząc zbyt mocno łóżeczkiem.

Pomruk przed dworem wzbierał niczym fala. Kiedy z kołującej się tłuszczy wypadli najzacieklejsi, Elżbieta osunęła

się na podłogę. Nastka dźwignęła panią i usadziła na krześle, po czym skoczyła po zimowe okrycie i buty.

– Niechże się pani zbiera!

– Nie pójdę bez męża. Nie porzucę rodziny.

Służąca pokazała wymownie dziecko, opatulając je wełnianymi chustami.

– To cała pani rodzina. Prędszej!

Pobiegły korytarzem obok gabinetu, salonu i apteczki ku drzwiom wiodącym do sadu. Kiedy wypadły na tyły domu, od frontu zahuczała kanonada.

Elżbieta się zawahała.

– Nie mogę! – jęknęła, tuląc synka. – Nie zostawię Konstantego...

Nastka chwyciła ją za rękę i pokonując opór, ciągnęła wąską ścieżką między przysypanymi śniegiem jabłoniąmi, rosochatymi gruszami, między chruśniakiem i krzewami porzeczek. Elżbieta zapadała się w zaspach, potykała o skraj długiej koszuli nocnej i poły płaszcz, przedzierając się w kierunku pól i majaczącego w oddali lasu. U krańca sadu odwróciła się w stronę dworu.

– Nie dam rady... Pilnuj go i nie ruszaj się stąd – postanowiła nagle.

Wcisnęła dziecko służącej i zawróciła. Nie weszła do budynku; okrążyła go od zachodu i znieruchomiała, spoglądając zza węgła na podwórzec.

Nikogo nie oszczędzono.

Rozpoznała lokajczyka. Bezgłowe ciało z rozrzuconymi na wznak rękami porzucono przy studni na śniegu brunatnym od krzepnącej krwi.



Rozpoznała kucharza, który służył we dworze od dziecka, a teraz siny i bezoki wisiał na wierzęjach stodoły.

Rozpoznała leśniczego i ekonoma, choć psy wyjadały im wnętrzności. Mróz pobielił mężczyznom włosy, a szronem pokrył skórę.

Na koniec zobaczyła męża. W podartej haftowanej koszuli, zakrwawionych spodniach, z zastygłą w grymasie twarzą wydał jej się obcy, odległy jak wspomnienie, do którego nigdy się nie wraca.

Byłaby krzyknęła, ale szloch zdławił jej gardło. Rzuciłaby się na pomoc, lecz nogi jakby wrosły jej w ziemię, a dłonie przywarły do oczu, żeby nie widzieć. Żeby nie zapamiętać.

Drgnęła, gdy od strony topolowej alei dobiegło rzenie koni i rażne, wesołe postukiwanie kopyt. Do dworu zbliżał się oddział żołnierzy. Wysokie helmy z dwugłowym cesarskim orłem i nieskalanie białe mundury natchnęły ją nadzieją na odwet. Austriacy zsiadli z koni. Śmiali się hałaśliwie, przerzucając żarcikami w twardej obcej mowie.

W blasku pochodni przeliczano korony – plądrowano dwór. Trzask łamanych mebli, tupot ciężkich buciorów rozlegały się za wstrząsanymi bezgłośnym łkaniem plecami Elżbiety. Część chłopów wypadła na podwórzec, pijana samowolą i bezkarnością, z przekrwionymi ślepiami bestii, z prymitywnym rechotem.

Zataczając się, wróciła do sadu. Nastka czekała między drzewami, niespokojna, skupiona na dziecku.

– Dokąd teraz? – spytała Elżbietę.

– Na północ, do Starzowej. We dworze na pewno nas przyjmą. A później do rodziców. Do Warszawy.

Sarze doskwieralo osamotnienie. Tuż po jej siedemnastych urodzinach Lea zaręczyła się z synem handlarza zbożem, Eliaszem Liskowiczem. Odbły się uroczyste tenaim, a potem przyszłą pannę młodą pochłono kompletowanie ślubnej wyprawy. Hadasa również wyprowadziła się do męża, co uradowało matkę, która teraz w marzeniach widziała pod chupą młodszą córkę, więc zaczęła przebąkiwać o tym, że czas najwyższy, aby i ją wydać za mąż. Sara burzyła się przeciw temu w duchu. Dobrze jej było z rodzicami, gdyż na jej artystyczne skłonności mimo wszystko patrzyli przez palce.

W tym czasie zafascynowały ją akwarele. Pierwsze próbki były żalosalne, wyrzucała je więc ze złością, rozmazując kciukiem bezkształtne plamy na papierze, który z niewiadomego powodu nie chciał schnąć. Była jednak dobrej myśli. Przekonana, że w końcu opanuje tę sztukę, martwiła się jedynie o to, że w zastraszającym tempie kurczy się szczupły zapas kartek. Kiedy się wyczerpały, a ojciec odmówił nowych, postanowiła kupić je sama. Na tę okazję już od jakiegoś czasu oszczędzała drobne, zatem mniej więcej w połowie miesiąca ijar udała się do antykwarjatu na Szeroką.

Onieśmielona, stała długo przed wystawą. Zaciskała palce na monetach niczym na cudownej lampie Aladyna i nie od razu się zorientowała, że w tym czasie ani razu nie odezwał się dzwonek u drzwi. Oraz że przez wystawową szybę wgapia się w nią ciemnowłosy wyrostek w jarmulce.

Weszła do środka. Wnętrze było dokładnie takie, jak je sobie wyobrażała; zalane światłem, które wpadało przez wy-



pucowane okno i rozszczepiało się na drewnianej podłodze. Przestronne mimo półek uginających się pod ciężarem ksiąg, ryz papieru, przyborów do pisania, pudeł i pudełek.

Rozejrzała się. Czarnowłosy chłopak w kamizelce na białej, płóciennej koszuli wciąż sterczał przy oknie, z rękami skrzyżowanymi na piersi i krzywym uśmiechem, którego wymowy nie pojmowała. Poza tym okazał się znacznie starszy, niż sądziła – na pewno nie był już dzieckiem.

W głębi antykwariatu zaszurały kroki. Coś trzasnęło, zaskrzypiało, po czym ukazała się kobieta w tradycyjnym stroju, w peruce, którą zsunęła nisko na czoło.

– Obsłuż klientkę, Jonatanie – powiedziała.

Chłopak opuścił ręce.

– Słucham – zwrócił się do Sary.

– Przyszłam... po papier.

– Jaki?

– No... taki... do rysowania. Nie za cienki, biały i chropowaty.

Zmarszczył gęste brwi, które złączyły się nad prostym nosem.

– W takim razie... – mruknął z namysłem – pokażę panie próbki.

Zaprowadził ją do prostokątnego stołu i z ustawionych nieopodal półek zdjął różne arkusze. Gdy ułożył w wachlarz na blacie, Sara nieśmiało pogładziła ich nierówną fakturę.

Odchrząknęła.

– Który... najlepiej wchłania wodę?

Brwi Jonatana znów zbiegły się w grubą kreskę.

– Wchłania wodę? Ale po co... miałby wchłaniać?

– Żeby na nim malować. Akwarelami.

– Akwarelami – powtórzył i się uśmiechnął. – Trzeba było tak od razu.

Wyjął nowe próbki. Wybrała jedną, poprosiła o dziesięć identycznych sztuk, zapłaciła kobiecie w peruce, a Jonatan spakował sprawunek i odprowadził ją do wyjścia. Pąsowa niczym róża wyszła na ulicę, przyciskając do piersi zwinięte w rulon i omotane sznurkiem bezcenne arkusze.

\* \* \*

Kiedy po latach Elżbieta wspominała okoliczności śmierci Konstantego, pamiętała głównie noc, gdy z synkiem na rękę wędrowała przez pola i las, przez skutą lodem rzekę, z dala od utartego szlaku. Przykryte czapami śniegu drzewa stanowiły gęstą zasłonę, za którą ukryła się z Nastką, gdy drogą galopowała austriacka piechota konna i potem, kiedy od Tarnowa ciągnęła pijana gromada zbuntowanego chłopstwa.

Pamiętała też trzaskający mróz i paraliżujący strach o dziecko, które w połowie wędrówki niespodziewanie ucichło, może pod wpływem zimna i ostrego, kłującego w płucach powietrza, a może z powodu ciemności, tak różnej od miękkiego półmroku dworskiej alkowy. Ogrzewała synka oddechem, przytulała drobne ciało do piersi, brnąc między świerkami i dębami, a żywiczny zapach przywodził jej na myśl to, co właśnie utraciła: dom i męża.

O brzasku wydostały się z lasu i poszły wzdłuż traktu. Elżbieta ledwo trzymała się na nogach, więc Nastka przejęła



dziecko. Po tragicznej nocy dzień był spokojny, niebo bezchmurne, powietrze przejrzyste niczym kryształ.

Do południa jedynym napotkanym konnym okazał się miejscowy Żyd, domokrażca i bukinista, który w przeszłości wielokrotnie zajeżdżał do dworu w Pohorcach, gdyż dostarczał Elżbiecie zamówione w Krakowie książki. Na jej widok zatrzymał konia i pomógł kobietom wsiąść na wóz, choć najpierw musiał je długo przekonywać, że nic im z nim nie grozi.

– Pohorce spłonęły! – krzyknął, strzelając z bata. – Gorzejowa i Brzozów także. Teraz tu same wdowy i sieroty żyć będą, bo chłopstwo mordowało, kogo popadnie.

Dowiózł je aż pod chatę rodziców Nastki, skąd Elżbieta następnego dnia na chłopskiej furmance pojechała do krewnych w Starzowej. Dwór stał przy granicy z Kongresówką, lecz paradoksalnie sąsiedztwo wojsk carskich wydawało się zabezpieczeniem przed ponownym atakiem chłopstwa.

Im dalej byli od Pohorców i Tarnowa, tym rzadziej widywali austriackie oddziały. Jeśli jednak jakiś mijali, Elżbieta zagryzała usta do krwi, powstrzymując się tylko ze względu na synka przed wykrzyczeniem nienawiści do ich białych mundurów. Właśnie wtedy przysięgła sobie i dziecku, że nigdy im nie wybaczy i choćby wyrzuciła z pamięci wszystko inne, tego nie zapomni do śmierci.

\* \* \*

Trwał miesiąc tamuz, upalny i tak suchy, że w studniach na Kazimierzu zabrakło wody. Wiślany nurt zwolnił, brzegi po-

szerzyły się, odkrywając łachy szarego piachu i żwiru. Żar sprawiał, że mężczyźni na całe godziny zaszywali się w chłodnej synagodze albo w łaźni, a kobiety, swarliwe i znużone niedającym oddechu słońcem, z mniejszym niż zazwyczaj zapalem przykładały się do domowych obowiązków.

Sara od kilku dni wymykała się z domu, ponieważ matka domagała się kategorycznie, aby przyjęła zaloty rzezaka Mendla Spiry. Był bogatym, dość młodym wdowcem, bezdzietnym, z szanowanym fachem w ręku. Mimo niechętnego milczenia dziewczyny okazywał zdumiewający upór, obiecując rodzicom przyszłej żony wyjątkowo korzystny kontrakt małżeński.

Sara upatrzyła sobie miejsce nad rzeką, w cieniu kępy leszczyny, która dawała tak pożądaną podczas upałów chłód. Spędzała tam najgorętsze chwile. Ukryta przed wzrokiem ludzi rozpościerała na trawie chustę, rozkładała na niej zapas papieru, ołówki i farby, po czym malowała, korzystając z cieni, drewnianej podkładki. W rozmarzeniu błędziła wzrokiem po spokojnej powierzchni wody i wznoszącym się za rzeką wzgórzem, na którym górował Wawel z błyszczącymi w słońcu kopułami wież.

Tego dnia również wybrała leszczyny. Z lnianego worka wyjęła papier, ołówki oraz trzy zielone jabłka, które wytarła chusteczką i ułożyła równo na chuście. Słońce wolno przesunęło się po bezchmurnym niebie, drzewa i woda były niemal nieruchome – jak wyrzeźbione w kamieniu. W trawie natrętnie cykały świerszcze.

Zaabsorbowana pracą nie wyczuła obecności intruza. Bezszelstnie usiadł pod leszczynową koroną, oparł plecy o pień,





skrzyżował nogi i trwał tak niczym posąg, popatrząc to na roztaczający się przed nim widok na rzekę, to na pochyłą nad kartką dziewczynę. W końcu, jakby zniecierpliwiony, sięgnął po jedno z trzech jabłek, wytarł je o materiał kamizelki i zatopił zęby w słodko-kwaśnym miąższu.

Zaskoczona Sara odwróciła się i na widok obcego pode-  
rwała na nogi. To był Jonatan z antykwariatu. Znała już jego  
krzywy uśmiezek, co nie zmieniło faktu, że chłopca nie po-  
winno tu być, a pod żadnym pozorem nie wolno im było roz-  
mawiać w cztery oczy.

– Za wcześnie zerwane – powiedział, nie ruszając się  
z miejsca. – Jabłka.

– Skąd... się tu wzięłeś.

To nie było pytanie. Raczej pretensja, że wtargnął do jej  
kryjówki i zakłócił spokój.

– Stamtąd. – Wyciągnął rękę w kierunku Kazimierza. –  
Tak jak ty. Przyszedłem się wykąpać, ale teraz, kiedy tu sie-  
dzisz...

Spiekła raka.

– Odejdź. Jeszcze nas kto zobaczy.

– Kto? Flisacy?! Lepiej pokaż, co narysowałaś.

Uklęła na chuście, jak najdalej od niego.

– Nie. Wracaj do antykwariatu. Masz tam chyba co robić?  
Kto dziś obsługuje klientów?

Zaśmiał się niewesoło i zamaszystym gestem rzucił ogry-  
zek do wody.

– Jakich klientów? Od miesiący antykwariat świeci pust-  
kami. To nie jest dobry czas na handlowanie książkami.

– Dlaczego?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Nie widzisz, co się wokół dzieje?

– A co ma się dziać? Upał i tyle.

– Nie słyszałaś o rewolucji? W Krakowie?

Oczywiście. Sara słyszała o rewolucji, ale dotychczas nie zaprzętała tym sobie głowy.

– Rewolucja już się skończyła.

– Wybuchnie znowu – zapewnił gorąco.

– Co tobie do niej? Jakby to była nasza sprawa.

– A nie jest? Pleciesz od rzeczy. Posłuchaj lepiej, co mówi rabin Dow Ber Meisels. Wszyscy powinni być polskimi patriotami. Przecież poparliśmy Rząd Narodowy! To nie kłóci się ani z naszą tradycją, ani z religią. Ja w każdym razie przyłączę się do oddziałów, jak tylko znów dojdzie do walk.

– Czemu nie zrobiłeś tego wcześniej?

– Z powodu matki. Ojciec przysłał jej get i zniknął. Nie wiem, gdzie jest. Pewno wyemigrował do Ameryki.

– A pomocnicy? Zatrudnij pomocników. W pracowni mego ojca jest aż trzech.

– Mieliśmy pomocników, ale w handlu zastój, więc odeszli poszukać lepszej pracy. Pokaż mi wreszcie, co narysowałaś.

– Uparty jesteś. Ani mi się śni.

– Dłużej nie będę prosił.

Wyciągnął rękę tak szybko, że zanim zdążyła zdjąć z kolan deseczkę z przyczepionym do niej rysunkiem, już miał ją w dłoniach.

– Oddaj! Oddaj, bo...!

– Przecież nic mi nie zrobisz – odparł ze spokojem i długo przyglądał się szkicowi.



– Spróbuj tylko żartować ze mnie! – powiedziała groźnie.  
– Dlaczego miałbym żartować? Moim zdaniem jest całkiem ładne. Nie znam się na rysowaniu, ale to bardzo mi się podoba. Często tu przychodzisz malować?

Zawahała się. Odebrała mu rysunek, po czym wzięła jabłko i skosztowała. Rzeczywiście, było niedojrzałe.

– Codziennie. Matka uparła się przed zimą wydać mnie za mąż. Wierci mi dziurę w brzuchu o Mendla Spire! A ja nie chcę rzezaka! Nie znoszę chodzić do rzeźni! Nie będę mu cerowała skarpet ani piekła chleba! Nie zamknę się dla niego w domu! Umarłabym z nudów, nawet nie wiem, o czym bym miała rozmawiać z takim mężem. On na pewno nie pozwoli mi malować ani czytać książek.

– No, nie wychodzi się za mąż dla rozmów i nie po to, żeby czytać i malować. Chociaż moim zdaniem jedno drugiemu nie przeszkadza.

– Nie wiem, czemu się na mnie uwziął, ten Spira. Jakby na Kazimierzu mało było panien na wydaniu!

– Panien nie brakuje. Ale żadna nie ma twoich oczu.

– Nie kpij. Hadasa, moja starsza siostra, ma dużo ładniejszej!

Wstał z trawy i się uśmiechnął.

– Nie przynos więcej tych jabłek. Umówmy się, że teraz moja kolej. Do jutra.

Odprowadziła go wzrokiem, myśląc o tym, że ma zaledwie dzień, aby sprawdzić, co mówił o rewolucji krakowski rabin Dow Ber Meisels. Okazało się jednak, że miała rację. Rewolucja wygasła przed nadejściem wiosny i nic nie zapowiadało, że się odrodzi. Mimo to nie zamierzała żartować z Jonatana;

rozemocjonowana czekającym ją spotkaniem ubrała się starraniej niż zwykle, w czarne włosy wpięła srebrne grzebyki, na dłonie wsunęła bransolety.

Nie przyszedł ani tego dnia, ani następnego. Rozczarowana siedziała beczynn timer nad rzeką, targając ze złością kępiki spalonej przez słońce trawy. Pojawił się dopiero w piątek. Przyniósł arkusze papieru o kredowym odcieniu i jabłka czerwone niczym lamówka przy jej spódnicy.

– Nie mogłem wcześniej – oświadczył, wręczając podarki.

Przyjęła papier i wybrała najdorodniejsze jabłko.

– Więc? Czemu cię nie było? Nie żebym z tego powodu załamywała ręce. Po prostu jestem ciekawa.

– Pracowałem w antykwariacie.

Zapadło przedłużające się milczenie. Oboje jedli owoce, zerkając na siebie spod oka. Jonatan usiadł blisko dziewczyny, na skraju kraciatej chusty, a Sara bawiła się długą wełnianą frędzlą.

– Co robiłaś wczoraj i przedwczoraj? – spytał. – Namalowałaś coś nowego?

Pokręciła głową. Teraz żalowała, że zmarnowała minione popołudnia i nie mogła się niczym pochwalić.

– Szkoda – stwierdził. – Ale dziś się nie wymigasz. Narysujesz coś dla mnie, w podzięce za jabłka i papier.

Zgodziła się i namalowała prosty pejzażyk: most, płynącą meandrami Wisłę i rozciągające się na obu brzegach miasto. Podała mu go z uśmiechem. Przysunął się tak blisko, że przez mgnienie oka otarł się o jej ramię.

Zerwała się spłoszona i otrzepała spódnicę.



– Już muszę wracać – oznajmiła, walcząc ze zmieszaniem.  
– Dzisiaj szabat.

Podniósł się również. Owijał palce długimi źdźbłami trawy, kiedy ona składała chustę i zbierała przybory do malowania.

– Poczekaj tu, nie idź od razu za mną – mruknęła.

– Nie znam nawet twojego imienia.

– Sara. Córka krawca, Lewiego Bacha. A ty masz na imię Jonatan.

– Moją matką jest Estera Schraiber, antykwariuszka z ulicy Szerokiej.

Już ze ścieżki pomachała mu na pożegnanie.

Potem w domu prześladowało ją wspomnienie głębokiej czerni jego źrenic i rzęs gęstych niczym u dziewczyny. Pamiętała szczupłość dłoni Jonatana, małe jak biedronka znamię na szyi, cień zarostu nad ustami wygiętymi w krzywym uśmiešku.

Podobał się jej bardzo, więc kiedy w miesiącu aw przysłał do niej swatkę, ku zdumieniu rodziców tym razem ani chwili nie zwlekała z odpowiedzią.



---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@wnk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@wnk.com.pl)

[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

---

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Bogumiła Widła*  
Korekta *Magdalena Szroeder, Ewa Mościcka*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12518-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Nasza Drukarnia